

ZBIGNIEW DROZDOWICZ *

Granice akademickich wolności

Akademickie wolności należą do tych wartości, które od momentu powstania pierwszych uniwersytetów wpisywane były w ich statuty i przypominane przy tych okazjach, w których jakieś siły zewnętrzne próbowały ingerować w prowadzone na nich badania oraz w ich programy kształcenia studentów. Problem w tym, że te wolności miały i mają takie granice, których przekraczać się nie powinno.

Granice wolności słowa

Granice wolności słowa są stosunkowo najtrudniejsze do określenia. To bowiem, co dla jednych jest wyrazem tej wolności, dla innych jest lub przynajmniej może być naruszeniem jakiejś „świętości” (w cudzysłowie lub bez cudzysłowu). Można oczywiście odwołać się do tych deklaracji (takich np. jak *Powszechna deklaracja praw człowieka* ogłoszona przez ONZ w 1948 roku), w których nie tylko jest mowa o wolności słowa, ale także o innych obywatelskich wolnościach. Rzecz jasna deklaracje to jedno, a praktyki do druga sprawa. Rzecz nie tylko w tym, że ich zapisy były i są różnie interpretowane, ale także w tym, że były one i są „naginane” do potrzeb tych, którzy aktualnie znajdowali się u władzy – zwłaszcza w tych krajach, które na swoich sztandarach miały i mają wypisane uwolnienie od niesprawiedliwości mas pracujących miast i wsi, a w praktyce zaspokajały i zaspokajają potrzeby stosunkowo nielicznej grupy politycznych oligarchów. Można także odwołać się do tych uniwersyteckich tradycji, w których uczelnie zapisały swoje znaczące karty w obronie akademickich wolności. Rzecz w tym, że nawet te, które dzisiaj zajmują wysokie miejsca w prestiżowym rankingu szanghajskim, miały w przeszłości również takie okresy, o których wołałyby zapomnieć. Przypominają im je jednak ich absolwenci – tacy chociażby jak absolwent oksfordzkiego Magdalen College Edward Gibbon, który o swoich akademickich nauczycielach napisał, że „W sumieniu swym rozgrzeszali się z trudu czytania, myślenia i pisania. Rozmowy ich grzęzły w kręgu spraw koleżeńskich, polityki torysów, spraw osobistych i prywatnych plotek; ich nudne pijatyki na umór usprawiedliwiała krewką niewstrzemięźliwość młodzieży” (Trevelyan 1961, s. 355 i d.). Studiował w nim jednak krótko (w latach 1752–1753), bowiem został usu-

* Prof. dr hab. Zbigniew Drozdowicz (drozd@amu.edu.pl), emerytowany profesor Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza

nięty z niego po przejściu z anglikanizmu na katolicyzm (co również nie wystawia dobrego świadectwa tej uczelni). W historii kultury angielskiej zapisał się jednak nie tyle swoją autobiografią, co sześciotomową *The History of the Decline and Fall of the Roman Empire*. Nie można jednak na tej podstawie powiedzieć, że nawet taka uczelnia w stanie upadku, jakim w tamtym czasie był Oksford, potrafiła wykształcić wybitnego historyka. Swoje akademickie wykształcenie zawdzięczał bowiem głównie prowincjonalnemu Uniwersytetowi w Lozannie.

Takich przykładów dających okazję do dyskusji nad granicami wolności słowa w życiu akademickim można oczywiście podać wiele i nie potrzeba ich szukać poza granicami Polski. Przypomnę tylko to, co o kondycji „sławnej niegdyś Szkoły Głównej Krakowskiej” (jej sukcesorem jest dzisiejszy Uniwersytet Jagielloński) napisał w *Raporcie o stanie oświecenia w Polsce w ostatnich latach panowania Augusta III* jej absolwent Hugo Kołłątaj. Stwierdził w nim, że jego wykładowcy filozofii „pisali mizernym stylem w łacinie i polszczyźnie” oraz wykładali autorów klasycznych, takich jak Arystoteles, natomiast „o Kartezjuszu, Gassendim, Leibnizu i Newtonie nie mówili, tylko odrzucali ich układy filozoficzne, kończąc zawsze na tym, że chrześcijańskiemu filozofowi nie wolno udawać się za nowymi sektami (...)” (Kołłątaj 1953, s. 77 i d.). Po objęciu przewodnictwa Komisji Edukacji Narodowej wizytował tę uczelnię i sporządził raport z tej „wizytacji”. Stwierdził w nim, że znajdowała się ona w tak głębokim upadku, że można ją nazwać „szkieletem szacownego mamuta”. Za ten upadek winę ponosić mieli jezuici. W raporcie tym postawił pytanie: „Gdyby Akademia Krakowska nie była prześladowana przez jezuitów, gdyby w nieprzerwaną przez dwa wieki z tym zakonem nie zostawała kłótni, cóż by jej przeszkodzić mogło do utrzymania w dobrym stanie tych nauk, w których przez dwa wieki zbierała sławę i do wynalezienia nowych, które później odkryto?” (Kołłątaj 1953a, s. 155 i d.). Warto przypomnieć, że w przypadającym na XVI stulecie okresie świetności tej uczelni w gronie jej absolwentów byli m.in. Mikołaj Kopernik, Andrzej Frycz-Modrzewski i Jan Kochanowski. Reformy kołłątajowskie sprawiły, że uczelnia ta otworzyła się w większym stopniu na nowoczesność – taką m.in. jak wprowadzenie „języków żywych”, w tym języka polskiego, oraz zatrudnienie takich uczonych jak Jan Śniadecki. Trwało to jednak krótko, bowiem do utraty przez ówczesną Rzeczpospolitą Obojga Narodów niepodległości.

Problem nie polega jednak na tym, aby o swojej macierzystej uczelni i swoich akademickich nauczycielach mówić tylko dobrze, lecz na tym, aby trafnie oceniać zarówno ich osiągnięcia, jak i potknięcia. Trudno jest się na to zdobyć nawet wielkim uczonym. Przykładem może być Albert Einstein. Autorzy jego biografii zatytułowanej: *Prywatne życie Alberta Einsteina* twierdzą, że „młody Einstein nie czuł respektu przed żadnymi autorytetami. Powiedział raz Milevie (swojej pierwszej żonie – uw. Z.D.), że prace Paula Drudego, jednego z najlepszych ówczesnych teoretyków, są „ciekawe i inspirujące”,

lecz brakuje im jasności i precyzji. Albinowi Herzogowi, rektorowi politechniki, który kiedyś odrzucił jego prośbę o przyjęcie, zarzucał, że wykladał w sposób jasny, lecz zbyt powierzchowny. Wilhelm Fiedler, specjalista od geometrii rzutowej, miał być błyskotliwy i głęboki, lecz jednocześnie pedantyczny do przesady” (Highfield, Carter 1995, s. 64). Nie jest to wprawdzie jakieś wielkie „kalanie” swojego akademickiego gniazda, jednak niemal każda opinia Einsteina była później czytana przez różnego rodzaju ciekawskich i powielona nie tylko przez tych, którzy gdzieś studiowali i mieli swoje zdanie na temat realiów akademickiego życia, lecz także tych, którzy temu życiu przyglądali się z zewnątrz i ew. szukali uzasadnienia dla swojego omijania bram uczelni szerokim łukiem. Niejedna z informacji i ocen pojawiających się na kartach przywoływanej tutaj biografii tego uczonego daje zresztą okazję do dyskusji na temat wolności słowa w mówieniu o życiu prywatnym uczonych.

To, co o ich życiu mówią ci, którzy spotykali się z nimi jedynie w wykładowych salach lub przy egzaminach, czasami jest zabawne, a czasami złośliwe lub nawet uwłaczające ich godności – zwłaszcza wówczas, gdy stoją za tym różnego rodzaju żale. Warto jednak liczyć się również z takimi głosami, bowiem mogą one stanowić sygnał, że na uczelni nie dzieje się dobrze. Władze każdej uczelni muszą brać pod uwagę to, że jeśli one nie wysłuchają takich głosów, to chętnie wysłuchają ich ci dziennikarze, którzy tropią różnego rodzaju afery i mogą przedstawić racje tylko jednej strony lub jedynie swój pogląd na sprawę – nie zawsze oddający trafnie zaistniałą sytuację. Rzecz nie w tym, że w akademickim życiu nie pojawiają się żadne afery, a tymi, które faktycznie miały i mają miejsce, powinni zajmować się jedynie władze uczelni i ew. prokurator, lecz w tym, że ci, którzy opierają swoją wiedzę o tym życiu jedynie na takich medialnych przekazach, mogą łatwo dojść do wniosku, że społeczność akademicka dzieli się na tych, których już złapano na jakimś nadużyciu, oraz na tych, którzy zostaną prędzej lub później na nim złapani. Tak oczywiście nie jest. Jednak łatwiej jest zapobiegać różnym akademickim „pożarom”, niż je gasić, kiedy już się pojawiają. Mogły się o tym przekonać władze tych uczelni, na których się one pojawiły i rozprzestrzeniły do tego stopnia, że przyciągnęły uwagę zwyczajnych ciekawskich – jeśli tak można powiedzieć o tych, którzy je znają albo z dziennikarskich opisów, albo też z tzw. pantoflowej poczty. Nie będę jednak podawał przykładów takich „pożarów”, bowiem było i jest ich sporo. Powiem jedynie, że w przeszłości na mojej byłej uczelni (UAM) byłem członkiem rektorskiej komisji ds. przeciwdziałania dyskryminacji. Przyznam, że to, co mówiły niektóre stojące przed nią osoby o swoich przełożonych, wprawiało w zdumienie niejednego jej członka. Szczególnie drastyczny był przypadek osoby, która oskarżała swojego przełożonego o zwykłą kradzież, a niezadowolona z decyzji rektora w tej sprawie, oskarżyła go o sprzyjanie „przestępcy”. Skończyło się to wprawdzie rozwiązaniem z tym oskarżycielem umowy o pracę, jednak niesmak pozostał.

Granice wolności finansowej

Ponoć dżentelmeni nie mówią o pieniądzach. Jeśli nawet nie mówią, to dlatego, że mają ich zawstydzająco dużo. Takich raczej trudno znaleźć w akademickim środowisku. Znacznie łatwiej jest znaleźć takich, którzy poważnie się zastanawiają, jak powiązać swoje ograniczone środki finansowe ze swoimi akademickimi i życiowymi potrzebami. Tak zresztą było również w czasach, w których powstawały pierwsze uniwersytety. Z nakreślonego przez Jacques'a Le Goffa ich obrazu w *Inteligencji w wiekach średnich* wynika, że walczyły one m.in. z mniejszą lub większą biedą. Szczególnie liczną grupę tej biedoty stanowili goliardowie. Autor tej książki, odpowiadając na pytanie: „Kim właściwie są goliardowie?”, stwierdza: „Wszystko sprzysięga się, aby ukryć przed nami ich oblicze. Zarówno anonimowość, pod jaką się przeważnie ukrywają, jak i legendy; te, które sami o sobie rozpowszechniali, i te, które z mnóstwem oszczerstw i plotek, szerzyli o nich ich wrogowie, i te wreszcie, które ukuli nowocześni historycy i erudyci. (...) Traktują tych wędrownych klerków, czyli goliardów, jak włóczęgów, rozpustników, żonglerów, błaznów. Robiono z nich cyganów, pseudostudentów, na których patrzono z lękiem i pogardą (...). Inni, przeciwnie, widzą w nich coś w rodzaju inteligencji miejskiej, środowisko rewolucyjne, chętne wszystkim formom jawnej opozycji przeciwko feudalizmowi. Gdzie leży prawda. (...) Goliardzi są uciekinierami (ze swojego rodzinnego środowiska – uw. Z.D.). Jako uciekinierzy pozbawieni dochodów, tworzą oni w szkołach miejskich rzesze ubogich studentów, którzy żyją, jak się da, obsługując swoich zamożnych kolegów, a nawet żebrząc (...). Ci ubodzy studenci, których nie przywiązał do miejsca ani dom, ani prebenda czy beneficjum, puszczają się więc na przygodę intelektualną, wędrując za profesorem, który im się spodobał, śpieszą ku mistrzowi, który zdobył sobie rozgłos, wędrując od miasta do miasta zbierając wykładaną naukę”. (Le Goff 1997, s. 40 i n.). W lepszej sytuacji materialnej znajdowali się ich akademicy nauczyciele, przynajmniej ci, o których Le Goff napisał, że zajmowali się „spekulacją oraz parali się lichwą, pożyczając na procent biednym studentom i biorąc najczęściej w zastaw przedmioty mające dla nich wartość podwójną, a mianowicie książki”.

Czy dzisiaj sytuacja materialna studentów jest lepsza? Różnie to wygląda w różnych krajach. W tych, w których studia są płatne, jest o tyle lepsza, że mogą wziąć w banku kredyt na studiowanie, ale gorsza z tego względu, że później mają duże trudności z jego spłatą. W Stanach Zjednoczonych w drugim kwartale 2025 roku zadłużenie studentów wyniosło około 1,81 biliona dolarów, co stanowiło wzrost o 4,2% w porównaniu do 2024 roku, a średnia federalna pożyczka wynosiła 39 075 dolarów. Nie oznacza to jednak, że na amerykańskich uczelniach jest wiele miejsc czekających na chętnych do studiowania. Zajmowane są one bowiem przez studentów zagranicznych – przede wszystkim z Chin, którzy dzisiaj stanowią najliczniejszą grupę obcokrajowców na nich studiujących. Czy Chińczycy są aż tak bogaci, aby zapłacić wysokie czesne? Zapewne niektórzy tak. Jednak

niejeden z tych studentów stanowi część mocarstwowych planów tego państwa, które chciałoby się stać pierwszą potęgą na świecie i inwestuje w niego publiczne pieniądze. W lepszej sytuacji są studenci w Wielkiej Brytanii, bowiem spłacać kredyt zaczynają dopiero po ukończeniu studiów, gdy ich dochody przekroczą określony próg i może on być umorzony po 40 latach oraz przy trwałej niezdolności do pracy. W zdecydowanej większości krajów europejskich studia finansowane są z kieszeni podatnika. Nie oznacza to jednak, że nic nie kosztują studenta lub jego rodzinę. Swoją wymowę ma fakt, że w bogatych przecież Niemczech duża liczba osób zaczyna studia, ale stosunkowo niewiele kończy je w przewidzianym programem terminie, bowiem okresowo przerywają je, aby gdzieś popracować i dorobić do swojego budżetu.

To, że studenci nadal klepią biedę, nie oznacza jednak, że w krajach zachodnich uczelnie generalnie są tak biedne, że nie stać ich na przyzwoite wynagradzanie swojej kadry badawczej i dydaktycznej. Ich kondycja finansowa jest jednak zróżnicowana. Są takie, które finansowo stać na wiele. Stosunkowo najwięcej jest ich w Stanach Zjednoczonych. Przykładowo: roczny budżet znajdującego się na pierwszym miejscu listy szanghajskiej Harvard University w 2024 roku wynosił ok. 130 mld zł (licząc kurs dolara po 3,50 zł), Massachusetts Institute of Technology ok. 47 mld zł, a Columbia University ok. 31 mld zł. Do bogatych zalicza się w tym kraju jeszcze 22 inne uczelnie. W sumie w 2024 roku dysponowały one kwotą ok. 223 mld dolarów. W tym kraju jest jednak ok. 4 tys. wyższych uczelni i pozostałe, jeśli nawet nie „klepią” przysłowiowej biedy, to muszą się liczyć z każdym studentem, który jest w stanie pokryć koszty swojego studiowania. W Europie również można znaleźć bogate uczelnie. Przykładowo: Cambridge University dysponuje budżetem ok. 10 mld zł. Jest to jednak mniejsza kadrowo uczelnia niż wymienione tutaj uczelnie amerykańskie. O takim budżecie, jakim dysponuje ten uniwersytet, mogą tylko pomarzyć polskie uniwersytety. Dla porównania budżet roczny takich największych polskich uczelni jak Uniwersytet Warszawski w 2024 roku wynosił ok. 1,4 mld zł, a Uniwersytetu Jagiellońskiego ok. 700 mln. Uczelnia, która przez ponad 50 lat była moim pracodawcą, ma budżet na poziomie ok. 500 mln zł. To i tak sporo w porównaniu z tym, czym ona dysponowała we wcześniejszych latach. Pamiętam, jak to wyglądało w okresie, gdy zaczynałem na niej swoją akademicką pracę na etacie asystenta. Otrzymywałem wówczas wynagrodzenie tak niewielkie, że z trudem udawało się pokryć koszty życia do końca każdego miesiąca. Nie mam jednak zamiaru biadolić. Zdecydowana większość polskiego społeczeństwa żyła wówczas biednie, a pensje akademickiej kadry nie odbiegały znacząco od średniej krajowej. Ówczesne władze polityczne miały jednak inne priorytety niż nauka i akademickie nauczanie. Zmieniło się to w jakiejś mierze po przełomie 1989 roku. Nie oznaczało to jednak, że polskie uczelnie zaczęły żyć „na bogato”. Było to niemożliwe przynajmniej w przypadku tych uczelni publicznych, które korzystały z dotacji (nazywanej obecnie subwencją) z budżetu

państwa. Trzeba jednak również powiedzieć, że stopniowo zmniejszana była i jest przepaść między stopą życia w Polsce i w wiodących na świecie krajach kapitalistycznych.

Czy szło za tym zmniejszanie przepaści w finansowaniu w Polsce badań naukowych. W jakiejś mierze tak. Tyle tylko, że stanowiło ono swoiste schody, na których pokonanie każdego kolejnego progu przychodziło z wielkim trudem, a zdarzały się również kroki w dół. W końcu lat 90. minionego stulecia żywą dyskusję wywołała decyzja rządowa ograniczenia nakładów na naukę w latach 1998–2000 do 0,47% PKB, co stanowiło ponad 20% mniej niż w 1992 r., który dla rodzimej nauki nie był przecież rokiem obfitości. W tej sprawie głos zabrał m.in. b. rektor UW Andrzej K. Wróblewski, który na łamach „Gazety Wyborczej” (z 25 kwietnia 1998 r.) stwierdził, że ówczesny wicepremier i minister finansów Leszek Balcerowicz (skądinąd również profesor) „polubił plan zamordowania nauki polskiej”. Bogdan Marciniak (b. rektor UAM) w swoim komentarzu stwierdził, że „Zasadniczą słabością finansowania B+R w Polsce, w porównaniu ze średnio-rozwiniętymi krajami Unii Europejskiej, jest nie tylko rażąco niskie globalne finansowanie ze środków publicznych (obniżenie z 1% PKB w 1989 r. do 0,35% 2002 r.), ale i alarmująco niskie finansowanie pozabudżetowe” (Marciniak 2003). W 2019 r. wprawdzie ponownie ten wskaźnik zbliżył się do 1% PKB, jednak nadal daleko odbiegał od wskaźników krajów UE.

Przywołam tutaj konkluzje z raportu Wiesława Banysia (b. rektora Uniwersytetu Śląskiego i b. przewodniczącego Konferencji Rektorów Akademickich Szkół Polskich), opublikowanego w 2004 roku pt. *Finansowanie szkolnictwa wyższego i nauki w Polsce z uwzględnieniem perspektywy międzynarodowej*. „Generalny wniosek, który wypływa z przedstawionych analiz, jest taki, iż z jednej strony konieczne jest zwiększenie finansowania budżetowego B+R do wartości określonej w Strategii Europy, a z drugiej zdecydowany wzrost finansowania B+R ze źródeł pozabudżetowych (szeroko rozumianego biznesu i przemysłu), co jest drogą do osiągnięcia synergii obu zasadniczych strumieni finansowania badań naukowych i wzrostu w obu kategoriach procenta PKB przeznaczonego na badania naukowe i rozwój” (Banyś 2004). Dodam, że według wymienionej tutaj strategii na badania i rozwój przeznaczanych powinno być 3% PKB. Natomiast wsparcie ze strony przemysłu i biznesu nie będzie dużo większe dopóty, dopóki nasze regulacje prawne nie będą dla tego sektora gospodarki bardziej zachęcające do dzielenia się swoim kapitałem. Tak czy inaczej polskim uczelniom żyje się dużo skromniej niż uczelniom w krajach zachodnich, a szukanie dodatkowych środków finansowych i oszczędności spada bezpośrednio na ich władze. Zobowiązują je zresztą do tego zapisy Ustawy 2.0. W jej Dziale XII nazywa się to „gospodarką finansową uczelni”, ale równie dobrze można by to nazwać „naciąganiem tak krótkiej koldry”, że jakby nie kombinować, to i tak jakaś część ciała spod niej wystaje.

Rok 2024 był okresem wielkich zmian w polskiej polityce. Już w deklaracjach wyborczych koalicji, która doszła do władzy, znajdowało się zobowiązanie do podwyższenia o 30% wynagrodzenia wszystkich nauczycieli, w tym nauczycieli akademickich, oraz o 20% personelu pomocniczego i administracyjnego. Tak się faktycznie stało i był to jeden z najbardziej znaczących kroków w kierunku poprawy warunków życia tych grup zawodowych. Wprawdzie podwyższona została również w 2024 r. subwencja dla wyższych uczelni na utrzymanie przez nie potencjału dydaktycznego i badawczego, jednak ten wzrost najwyraźniej nie nadążył za faktycznym wzrostem kosztów ich utrzymania, o czym świadczą m.in. kłopoty z płynnością płatniczą wielu z nich, w tym najbardziej znaczących. W niejednej miało miejsce gorączkowe szukanie dodatkowych dochodów i oszczędności oraz „cięcie”, co się da i komu się da, bez narażania się na wielkie protesty uczelnianej społeczności. W 2025 roku nastąpił jednak spadek wydatków na badania naukowe – po uwzględnieniu poziomu inflacji jest to 1,27% PKB. Piotr Kieraciński dokonał analizy projektu budżetu na 2026 rok i stwierdził, że „Po raz pierwszy w ostatnich trzydziestu kilku latach jest on niższy niż w roku poprzednim. (...) Ten fakt sprawił, że część z 19 działów budżetu musi zadowolić się podwyżkami nakładów poniżej przewidywanego poziomu inflacji, a niektóre nawet zmniejszeniem budżetowania w ujęciu kwotowym. W projekcie budżetu państwa na rok 2026 na szkolnictwo wyższe i naukę zaplanowano 44,4 mld zł wobec 42,8 mld zł w roku bieżącym. Zatem na pierwszy rzut oka widać, że wzrost nie jest oszałamiający, bowiem wynosi 1,6 mld zł, co stanowi 3,7% budżetu na rok 2025 (mniej więcej w granicach prognozowanej inflacji). Sprawa jest jednak bardziej skomplikowana, bowiem część tej kwoty, a mianowicie 1,94 mld zł, stanowią środki europejskie. Zatem same nakłady budżetu krajowego wynoszą 42,43 mld. zł. Podobnie jest w roku 2025, gdzie nakłady krajowe wynoszą 41,65 mld zł, a środki europejskie 1,14 mld zł. Oznacza to, że nakłady krajowe na szkolnictwo wyższe i naukę wzrosną w 2026 r. względem roku 2025 o 1,02%, natomiast środki europejskie w budżecie nauki wzrosną o ponad 70% i to razem daje przedstawiony powyżej wzrost o 3,7%” (Kieraciński 2025). Zapewne władze największych polskich uczelni jakoś sobie poradzą – tyle tylko, że będzie to mocniejsze naciąganie krótkiej finansowej „kołdry”.

Nie ułatwią tego te uczelniane inwestycje, które są kosztowne w utrzymaniu, ale nie zawsze są w stanie na siebie zarobić ani prowadzonymi na wysokim poziomie badaniami naukowym, ani też liczbą kształconych w ich obiektach dydaktycznych studentów. W latach 90. minionego stulecia na mojej byłej uczelni podejmowane były one pod hasłem: integrujemy się z UE, w tym budujemy „mosty” między Polską i Niemcami. Takim „mostem” miał być wybudowany na pograniczu polsko-niemieckim ośrodek naukowo-dydaktyczny w Słubicach. Jeszcze dzisiaj może on imponować swoją infrastrukturą, w tym budynkiem głównym i kilkoma akademikami. W tym pierwszym są wprawdzie zarówno pomieszczenia dla pracowników naukowo-dydaktycznych, jak dla

i studentów, jednak dosyć późno zaczęto myśleć, skąd wziąć jednych i drugich. Jednym z rozwiązań było przeniesienie tam tych, którzy z różnych względów nie mogli znaleźć miejsca w poznańskich jednostkach uczelnianych. Udało się nawet zebrać grupę kilkunastu pracowników naukowo-dydaktycznych i uruchomić tam studia dla stosunkowo niedużej grupy studentów. Wszystko to jednak było i jest za mało, aby mogło wypełnić tak duże uniwersyteckie obiekty. Wprawdzie później uruchomiono w nich szkołę średnią, ale dotychczas nie jest ona w stanie pokryć tego deficytu, który jest związany z kosztami utrzymania tego ośrodka. Wygląda na to, że władze tej uczelni nie mają pomysłu, co z nim zrobić. Podjęły już jednak decyzję o likwidacji podobnego ośrodka w Gnieźnie. On również powstał na fali integrowania się z Europą Zachodnią. Ma wprawdzie na swoim koncie większe sukcesy w badaniach naukowych i w kształceniu studentów niż ośrodek w Słubicach, ale tak czy inaczej był i jest deficytowy. W ostatnim czasie jego obiekty zostały wynajęte na ośrodek szkoleniowy dla policji. Dobrze i to.

A co ze starą bazą UAM? Mam prawo postawić to pytanie, bowiem w niej znajdowało się przez wiele lat moje miejsce pracy. Przed objęciem przeze mnie w 2008 roku obowiązków dziekana przedstawiała się ona tak dramatycznie, że okna „grały” swoje melodie przy każdym podmuchu wiatru. Radykalnie zmieniał się to wówczas, gdy wspólnie z dziekanem Wydziału Pedagogicznego Zbyszko Melosikiem zabraliśmy się za jej poprawianie. Czy nie można było tego zrobić wcześniej? Pewnie by można, jednak potrzebne było do tego nie tylko odpowiednie zaangażowanie dziekańskie, ale także większa przychylność tych władz rektorskich, które uważały, że inwestycje tej uczelni są i być powinny realizowane na kampusie Morasko. Wybudowały one tam takie obiekty naukowe i dydaktyczne, które odpowiadały potrzebom ich rodzimych wydziałów. Nie kwestionuję tego, że są one okazałe i na swój sposób funkcjonalne. Tyle tylko, że największym zainteresowaniem cieszyły się i nadal cieszą te kierunki studiów, które są prowadzone w starej infrastrukturze UAM.

Granice tolerancji zachowań

Już dotychczas podejmowane kwestie mogą skłonić do postawienia pytania o granice tej tolerancji i to zarówno zachowań studenckich, jak akademickiej kadry. Le Goff dosyć szczegółowo opisał zachowanie „chluby ośrodka paryskiego” Piotra Abelarda, który najpierw był goliardem, a później „pierwszym profesorem” i „rycerzem dialektyki”. Autor tego eseju najwyraźniej z nim sympatyzował, bowiem praktycznie wszystko to, co on robił uznał za godne profesora i „rycerza” – nawet to, że w sposób bezceremonialny atakował inne ówczesne wielkości tego ośrodka. Postać tego uczonego przeszła do historii nie tylko za sprawą jego mistrzowskiej dialektyki, ale także miłosnego związku z jego podopieczną Heloizą (Abelard poznał ją, gdy miała 16 lat, a on 38). Zachowała się nie tylko korespondencja między tymi kochankami, ale także listy

Abelarda do jego przyjaciół. W jednym z nich o swoim nauczycielu Wilhelmie z Champeaux napisał, że „miał zadziwiający dar słowa, ale to, co mówił, pozbawione było znaczenia i sensu”. Natomiast o Anzelmie z Laon napisał, że „był poważnym starcem, któremu chyba zaśniedziała rutyna raczej niżli dary rozumu albo zalety pamięci zjednała wielki szacunek” (Abelard 1952, s. 49 i d). Przechwalał się przy tym, że to, co mówił o pierwszym z nich, przysporzyło mu stopniowo tak wielu uczniów, że „nawet najgorętsi dotąd i najzagorzalsi zwolennicy Wilhelma, a moi nieprzejednani wrogowie, zaczęli tłumnie przychodzić na moje wykłady”. Jakby takiego akademickiego zachowania nie oceniać, to raczej nie kwalifikowało ono Abelarda do znalezienia się na kościelnych ołtarzach. Natomiast takie związki nauczyciela z uczennicą nawet w dzisiejszych – co tutaj dużo mówić – dosyć liberalnych czasach, budzą poważne zastrzeżenia.

Ważnym głosem w dyskusji nad zachowaniami średniowiecznych studentów mogą być również te wydarzenia, które miały miejsce w Oksfordzie w XIV wieku. George M. Trevelyan napisał, że praw studentów do ich wolności broniły wówczas „zastępy zadziornych studentów, gnieźdzących się w brudnych domach oksfordzkich, którzy, gdy okoliczności wzywały, wylewali się tłumnie na ulicę, grożąc życiu wysłanników biskupich, wygwizdując urzędników królewskich, albo, uzbrojeni w pałki i sztylety, uderzali na motłoch popierający burmistrza przeciw rektorowi. (...) W 1353 roku mieszczanie urządzili prawdziwą rzeź kleryków i studentów; niedobitki uciekły w panice z Oksfordu, a uniwersytet pozostał zamknięty aż do czasu interwencji królewskiej, która zapewniła ochronę uczonym i uczącym się oraz ich pomściła” (Trevelyan 1961, s. 68.). Do dzisiaj studenci tej uczelni obchodzą uroczyste rocznice tej rzezi. Natomiast kadra tej uczelni świętuje swoje tradycje pijackie. Andrzej Walicki w swoich wspomnieniach z pracy w Souls College oksfordzkiego uniwersytetu napisał, że „rygorystycznie kultywowane są w nim tradycje (...), był taki jeden wieczór w roku, kiedy należało się «wstawić»” (Walicki 2014, s. 18 i n.). Informacje o nadużywaniu przez kadre tego uniwersytetu alkoholu pojawiają się również we wspomnieniach jego absolwentów, w tym Thomasa Hobbes’a (studiował w niej w l. 1602–1603), który o swoich akademickich nauczycielach napisał, że byli to „karciarze i pijacy”. Jak to wygląda w innych krajach, mogłem się przekonać, biorąc udział w międzynarodowych konferencjach naukowych. Nie będę wchodził w szczegóły. Powiem jedynie, że w krajach romańskich jest spore zamięłowanie do spożywania win i dotyczy to również kadry akademickiej. W Polsce raczej na żadnej uczelni nie świętuje się „dnia pijaka”. Nie oznacza to jednak, że na żadnej nie ma okazji do takiego świętowania, w którym spożycie alkoholu sprawia utratę nie tylko akademickiej powagi, ale także rozwagi i zwyczajnej równowagi. Sporo na ten temat mogliby zapewne powiedzieć nie tylko uczestnicy naukowych konferencji, ale także „zakrapianych” alkoholem spotkań pracowniczych – z jakiejś okazji lub bez żadnej okazji. Problem ten jest na tyle poważny, że wydany został oficjalny zakaz spożywania alkoholu na terenie

uczelni. To, na ile jest on przestrzegany, zależy jednak nie tylko od słabości niektórych akademików do alkoholu, ale także od wielu takich okoliczności, w których nie wypada im odmówić wzięcia udziału w takich spotkaniach – zwłaszcza wówczas, gdy w grę wchodzi zależność służbowa i stroną inicjatywną jest szef. Dodam tylko, że w przeszłości miałem zatrudnienie również na jednej ze szczecińskich uczelni. Zrezygnowałem z niego po tym, jak kierownictwo katedry, do której byłem przypisany, objęła osoba, która inicjowała spotkania współpracowników „przy kieliszku”.

Problem zależności służbowej ma jednak ogólniejszy charakter i stoją za nim długie akademickie tradycje. G.M. Trevelyan, przedstawiając upadek w XVIII stuleciu Uniwersytetów Cambridge i Oksford, wskazuje na funkcjonowanie w ich kolegiach tzw. donów, tj. takich akademików, którzy „obwarowani przywilejami” mieli swoisty monopol na zachowanie swojej akademickich godności dożywotnio i nie musieli wykonywać żadnych prac uniwersyteckich (Trevelyan 1961, s. 355). Dzisiaj takich „donów” na uczelniach trudniej jest znaleźć – jednak nie dlatego, że zniknęli z akademickiego życia, lecz przede wszystkim dlatego, że potrafili się lepiej „okopać” na swoich monopolistycznych pozycjach. Mój kolega profesor (pełniący w przeszłości funkcję dziekana) nazywa ich „wydziałowymi baronami”. Problem nie polega nawet na tym, że nie mają oni żadnych akademickich osiągnięć – niektórzy z nich mają nawet znaczące, tyle tylko że uzyskane zostały one w okresie, gdy dopiero zdobywali swoją akademicką pozycję. Problem polega natomiast na tym, że dyktują oni osobom od nich zależnym nie tylko to, co jest właściwe w badaniach naukowych, ale także w akademickich zachowaniach. U nich tacy krytycznie nastawieni do swoich akademickich nauczycieli uczeni jak Abelard nie zrobią akademickiej kariery i nie uzyskają znaczących uczelnianych funkcji. Znam przypadek takiego kandydata na dziekana, który przegrał wydziałowe wybory nie dlatego, że był gorszy od swojej kontrkandydatki (bo był od niej wyraźnie lepszy), lecz dlatego, że nie zyskał uznania „wydziałowych baronów”. Znam również przypadek takiego dziekana, który stracił szansę wyboru na drugą kadencję po tym, jak pozbawił kierowniczego stanowiska na wydziale ulubienicę „wydziałowego barona”. W szczególnie trudnej sytuacji stawiają się jednak ci akademicy, którzy mają nie tylko znacząco większy dorobek naukowy od takich „baronów”, ale także znacznie lepsze kontakty międzynarodowe i dla ich podtrzymania potrzebują wsparcia finansowego ze strony swojej uczelni. Każde ich wystąpienie z prośbą o takie wsparcie daje tym „baronom” okazję do wskazania tym uczonym ich „właściwego” miejsca w wydziałowej hierarchii. Jeden z moich kolegów profesorów – współpracujący z uczonymi z wielu różnych krajów – usłyszał od swojego dziekana, że jego kontakty są dla wydziału zbyt kosztowne i przy wyjazdach zagranicznych powinien szukać miejsc noclegowych w studenckich akademikach.

Poważnym problemem polskich uczelni jest również kwestia takich uczonych, których kwalifikacje mogą być porównywalne z kwalifikacjami ich zachodnich koleżanek

i kolegów. Pod względem liczby zatrudnionych na uczelniach i w instytutach badawczych pracowników naukowych Polska wypada dobrze. Według Raportu OPI w 2024 roku w polskich instytucjach badawczych zatrudnionych było na pełnym etacie ok. 72, 5 tys. badaczy, co sytuowało nasz kraj na 5. miejscu w UE. Nieźle wypadamy również pod względem „produkcji naukowej” mierzonej liczbą publikacji. W świetle tego raportu w latach 2018–2022 polscy naukowcy opublikowali ok. 536,9 tys. artykułów, monografii i rozdziałów w książkach, jednak tylko 3% w czasopismach najwyższej punktowanych. Słabo wypadamy również pod względem udziału polskich uczonych w realizacji międzynarodowych projektów badawczych. W programie Horyzont 2020 i Horyzont Europa brało udział jedynie 3180 polskich uczonych, co daje nam 14. miejsce wśród krajów UE. Na czołowych miejscach w tym rankingu znajdują się Niemcy (16 437 uczestników tych programów), Hiszpania (14 449) i Włochy (13 720). Wiesław Banyś dokonał analizy udziału polskich uczonych w tych programach. W jej podsumowaniu stwierdził: „Ostatnimi laty nasz udział w H2020 był nikły i uzyskane środki nie pozwalały nawet na zrekomensowanie składki, jaką Polska płaci do unijnego budżetu na ten cel. Powody tej sytuacji są złożone, i choć związane także wynikowo z bardzo niskim poziomem finansowania badań naukowych w Polsce, to nie jest to jednak jedyna przyczyna naszych dotychczasowych niepowodzeń. Swoją rolę odgrywają także dotychczasowe zasady oceny parametrycznej jednostek naukowych, ze zbyt małą wagą przypisywaną uzyskaniu grantów z Horyzontu 2020 czy ERC, podobnie jak i w przypadku ewaluacji indywidualnej działalności naukowej badacza, za niskie są wynagrodzenia członków polskich zespołów badawczych” (Banyś 2004, s. 51). Najgorzej jednak polscy uczeni wypadają pod względem wpływu ich publikacji, mierzonego wskaźnikiem FWCI (*field-weighted citation impact*) na naukę światową. Ze wskaźnikiem 1.01 FWCI zajmujemy ostatnie miejsce wśród krajów UE (Kieraciński 2024).

Różne są tego przyczyny. Były one przedmiotem szczegółowych analiz. Jedna z nich została przeprowadzona przez Marka Kwieka i Łukasza Szymulę. Dotyczyła ona uczonych „o bardzo wysokiej i bardzo niskiej indywidualnej produktywności badawczej” z 38 krajów OECD, publikujących od co najmniej 25 lat. Zbadana została również produktywność 4165 polskich naukowców specjalizujących się w dziedzinie STEM (*technologii, inżynierii i matematyki*). Wnioski są optymistyczne dla uczonych produktywnych na wczesnych etapach akademickiej kariery i pesymistyczne dla tych, którzy wykazywali się na nich niską produktywnością. „Innymi słowy, niektórzy naukowcy są wysoce produktywni przez lata i dziesięciolecia (...), a inni – ich koledzy w ramach tych samych dziedzin nauki – są z kolei mało produktywni przez lata. (...) Wyjątki są bardzo rzadkie: skoczki i spadkowicze w nauce światowej (...) niemal nie występują. (...) obliczone przez nas prawdopodobieństwo pojawienia się skoczka dla przejścia z etapu przed habilitacją do etapu po habilitacji wnosi 0%” (Kwiek, Szymula 2025, s. 31 i d.). Autorzy

tej publikacji postulują „przekładanie tych wniosków na politykę instytucjonalną, zwłaszcza w odniesieniu do zatrudniania i awansowania”.

Rozsądnym rozwiązaniem byłoby pozbycie się tych nieproduktywnych pracowników, którzy po wielu trudach uzyskali doktorat oraz zatrudnienie na uczelni lub w innego rodzaju instytucji badawczej, a później uznali, że już spełnili swoje naukowe „powołanie” i można zająć się czymś bardziej interesującym niż badania naukowe. Czy jest ich wielu? Odpowiedź na to pytanie można znaleźć, zapoznając się chociażby ze znajdującymi się w uczelnianych Bazach Wiedzy wykazami publikacji. Nie tylko potwierdzają one wnioski formułowane przez M. Kwieka i Ł. Szymulę, ale także pokazują, że łatwiej jest mimo wszystko uzyskać zatrudnienie na uczelni, niż rozwiązać umowę o pracę z akademickim pracownikiem. Praktycznie na każdej uczelni można znaleźć takich, którzy uważają, że dotyczą ich stawki wynagrodzeń za pracę na zajmowanym przez nich stanowisku, ale już nie wykonywanie związanych z nim obowiązków. Na stanowiskach naukowo-dydaktycznych należy do nich zarówno prowadzenie zajęć dydaktycznych, jak i naukowych badań, udokumentowanych publikacjami w naukowych czasopismach i wydawnictwach. Te ostatnie u nich albo pojawiają się sporadycznie, albo nawet ich brak. Nie pomagają przy tym żadne apele ich przełożonych o wykazanie się większą aktywnością badawczą. Takie osoby nic sobie z nich nie robią oraz czują się „nietykalni” na zajmowanych stanowiskach. Stanowią oni jednak zróżnicowane grono osób. Można wyróżnić w niej takich, którzy są w wieku przedemerytalnym i są chronieni prawem. Znajdują się w niej również tacy, którym poważna choroba uniemożliwiła większą aktywność badawczą i raczej trudno jest ich „skazać” na zasiłek zdrowotny lub rentę inwalidzką. Są w niej również matki samodzielnie wychowujące dzieci i takie zwolnienie mogłoby oznaczać, że będą one miały poważne trudności ze znalezieniem innego pracodawcy i utrzymaniem rodziny.

Wszystko to jednak stanowi szczególne przypadki. W większości bowiem ta grupa składa się z takich „nietykalnych”, którzy uchylają się od wykonywania zawodowych obowiązków „bo już”. Ich funkcjonowanie na uczelni sprawia, że słowa Edwarda Gibbona o jego oksfordzkich nauczycielach, że prowadzili „sabarycki i leniwy tryb życia”, nabierają aktualności. Rzecz jasna, jak wszyscy inni podlegają oni procedurze ocen okresowych. Jednak mało kiedy zdarza się, że przeprowadzające te oceny komisje formułują oceny negatywne. Pełniąc funkcję dziekana przez 8 lat, przewodniczyłem takiej komisji. Podstawą do takiej oceny były zarówno wypełnione przez nich i podpisane przez ich bezpośrednich przełożonych ankiety ocen okresowych, jak i rozmowy z nimi członków tej komisji. Już sporą sztuką było wskazanie przez takich uczonych jakiegokolwiek osiągnięcia naukowego. Zdarzało się jednak, że mieli oni w tej komisji takiego „advokata”, który potrafił „z niczego zrobić coś konkretnego” w ich naukowych dokonaniach. Jeśli natomiast ta ocena była negatywna, to z reguły odwoływali się do uczelnianej komisji

odwoławczej i zdarzało się, że uznawała ona ich rację. Wiele zależało tu od tego, jaki akademicki status miała taka osoba. Jeśli to był zwyczajny doktor, to trudniej mu było obronić swoje uchylanie się od pracy niż tym, którzy posiadali stopień doktora habilitowanego lub profesorski tytuł. Zadziwił mnie przypadek takiego profesora, który notorycznie lekceważył swoje akademickie obowiązki, a przed swoimi kolegami tłumaczył to tym, że mu za mało na uczelni płacą.

Bibliografia

- Abelard P. (1952), *Historia moich niedoli*, Warszawa: PIW.
- Banyś W. (2021), *Finansowanie szkolnictwa wyższego i nauki w Polsce z uwzględnieniem perspektywy międzynarodowej. Raport z badań*. Poznań: Centrum Studiów nad Polityką Publiczną UAM.
- Highfield R., Carter P. (1995), *Prywatne życie Alberta Einsteina*, Warszawa: Prószyński i S-ka.
- Kieraciński P., *Mniej niż mało*. Forum Akademickie nr 7-8/2025.
- Kieraciński P., *OPI – raport „Nauka w Polsce 2023”. Nie tylko dobre wieści*. Forum Akademickie nr 3/2024.
- Kołątaj H. (1953), *Stan oświecenia w Polsce w ostatnich latach panowania Augusta III (1750 – 1764)*, [w:] *Wybór pism filozoficznych*, Warszawa: PWN.
- Kołątaj H. (1953a), *Raport z wizytacji Akademii Krakowskiej odbytej w r. 1777*, [w:] *Wybór pism filozoficznych*, Warszawa: PWN.
- Kwiek M., Szymula Ł., *Młodzi naukowcy o niskiej produktywności? Żadnych szans na wysoką produktywność w przyszłości (analiza 320 000 karier naukowych w 38 krajach OECD)*, Nauka, nr 1/2025.
- Le Goff J. (1997), *Inteligencja w wiekach średnich*, Warszawa: Oficyna Wydawnicza Volumen, Dom Wydawniczy Bellona.
- Marciniec B. (2003), *Transformacja systemu finansowania nauki i działalności badawczo-rozwojowej w Polsce*, Biuletyn Humaniora nr 15.
- Trevelyan G.M. (1961), *Historia społeczna Anglii. Od Chacera do Wiktorii*, Warszawa: PIW.
- Walicki A., *Odpowiedź na ankietę „Przeglądu Filozoficznego”*, Przegląd Filozoficzny. Nowa Seria nr 1 (89) 2014.

Granice akademickich wolności

Rozwiązywanie problemów granic w akademickim życiu wolności słowa, finansowania prowadzonych przez uczonych badań oraz tolerowania takich zachowań, które utrudniają to życie, można uznać za najistotniejsze wskaźniki kondycji nauki i nauczania w szkolnictwie wyższym. Pojawiły się one praktycznie od momentu powstania pierwszych uniwersytetów zarówno w krajach zachodnich, jak i w Polsce. To, że te kraje potrafiły sobie z nimi jakoś poradzić, świadczy m.in. to, że ich uczelnie zajmują dzisiaj czołowe miejsca w prestiżowych rankingach, a ich uczeni mają na swoim koncie przełomowe odkrycia. Polskie uczelnie w tych rankingach

albo zajmują odległe miejsca, albo też w ogóle się w nich nie pojawiają. Rozważania te traktuję jako głos w dyskusji nad przyczynami tego nienadążania Polski za światową czołówką.

Słowa kluczowe: wolność słowa, bariery finansowe, tolerancyjność wobec zachowań

The limits of academic freedom

Dealing with the problems of boundaries in academic life of freedom of speech, funding of research conducted by scholars, and tolerance of such behaviour that hinders this life can be considered the most significant indicators of the condition of learning and teaching in higher education. They have appeared practically since the first universities were established in both Western countries and Poland. The fact that these countries were able to cope with them somehow is evidenced by the fact that their universities today occupy leading positions in prestigious rankings and their scholars have ground-breaking discoveries to their credit. Polish universities either take distant places in these rankings or do not appear in them at all. I treat these reflections as a voice in the discussion on the reasons for Poland's failure to keep up with the world's leaders.

Key words: freedom of expression, financial barriers, tolerance towards behaviour